

Jest niedziela. Dzień nie - powszedni. Suma tygodnia. I oto, co się wydarza, całkiem albo nie, nie do końca, spodziewanie. Element spodziewany jest taki, że konieczne było wyjście. Wyjść musiałam dla higieny psychicznej, dla świeżego powietrza i dlatego, że się umówiłam. Wypada przychodzić, gdy się umawia, więc chociaż nie jestem akurat zbyt wyjściowa: włosy przedwczorajsze, skóra zimowa – sucha, paznokcie – długa historia.

Stan faktyczny: Wychodzę, chociaż nie chcę, chociaż nie wyglądam, a co za tym idzie - całkiem się nie czuję.

Czułam się cały tydzień, a w niedzielę akurat nie. I oto wsiałam do tramwaju. Ludzi niewielu: kilka starszych pań, jeden pan, skulony jakiś, zmarznięty. Kilka kobiet, kilku mężczyzn. I dwie dziewczyny. Dookoła pełno miejsc, ale jedna drugiej siedzi na kolanach. Chichoczą.

Wyciągają swoje długie nogi. O! One z pewnością się dzisiaj czują. Czują się i zadowolenie też czują. I słyszę, jak jedna mówi: Ale gruba! Myślę, że o mnie, może zazwyczaj nie jestem gruba, ale dzisiaj wszystko jest możliwe, dzisiaj mogę być i gruba. Jest niedziela. Suma tygodnia: moja waga dzienna razy siedem dni, tak, czuję się jak trzysta kilogramów. Nogi mi się uginają. To o mnie mówi czy nie o mnie? Wiem, że nie o mnie, ale się zawstydzam, bo pomyślałam, że o mnie. Ale jak nie o mnie, to o kim? I czemu to mówi? Kto jej pozwala tak mówić! Rozglądam się po tramwaju. O kim mówiła? Nikt jakoś szczególnie gruby nie jest, ale widzę, może to tylko przewidzenie, że wszystkie panie jakoś tak się zasępiły. Jedna patrzy na drugą albo na buty, albo udają, że nie słyszą. Może nie słyszą?

A te chichoczą. Czemu chichoczą? Przysuwam się bliżej, żeby usłyszeć, ale zaraz się odsuwam, może lepiej nie słyszeć, co mówią? Myślę, że wcale nie są ładne. Poza tym śmieją się głupio. I oceniają innych. Nie myślą, że może komuś być przykro? A może to było całkiem na inny temat? Może to nie złośliwość, tylko ja w tym swoim niedoczuciu szukam cudzych kpín, by się tanio dognębić?

Jak bym się nie starała, nie będę miała nastoletniej cery. To fakt. Ale jak można się z tym pogodzić, co za bzdura?

Czytuję czasem magazyny, jak mam dobry humor, gdzie kobiety z jakichś nie zawsze zrozumiałych powodów uważane za interesujące, opowiadają o swoich pogodzeniach. Godzą się z wiekiem, mężczyznami, niedoskonałościami, własnymi ograniczeniami, zawiścią innych i niedowartościowaniem. Godzą się! Cóż za szlachetność z ich strony. Jaka cholerna wygoda. Opowiadają o swoich podróżach do pogodzenia się.

Czasem podróż jest dosłowna, wyjechały na biegun, gdzie spotkały Eskimosów, a oni, nie do wiary, żyją w chłodniejszym klimacie. Więc doceniły, że nasz klimat nie taki zimny. Inne były w Meksyku, gdzie Indianie mimo, że ci pradawni Europejczycy tłamsili ich kulturę, że sprowadzili ją do pióropusza, wciąż szanują swoją ziemię. Dlatego, te magazynowe kobiety, postanawiają rozpocząć pielęgnację przy pomocy olejów. Godzą się ze sobą, dlatego co rano biorą zimny prysznic, niczym prababki ich babek, aby biust był jędrny. Czasem to trzydzieste, czterdzieste, pięćdziesiąte urodziny uświadamiają im, jak wiele mają, lecz czemu nie uświadamiają im, jak wiele nigdy już nie będą miały?

Doskonale pamiętam dzień, kiedy wiedziałam, że mam wszystko. To był ciepły wieczór letni, miałam trzynaście lat i wracałam do domu, nieznosnie długim i nudnym chodnikiem. Ten chodnik był najnudniejszą drogą jaką w życiu chadzałam. Nic się przy nim nie działo. Nie było tam ani domów, ani drzew. Horyzont - niesłychany, ludzie w oddali rysowali się jak ciemne kropki, poruszające się w

niewiadomym kierunku. Spacer tym chodnikiem przypominał wchodzenie po ruchomych schodach jadących w dół. Niezależnie od tego jak szybko się szło, nic się nie zmieniało. Miał może osiemset metrów, ale wrażenie było takie, jakby przeszło się kilometry. Już go nie ma. Teraz stoją przy nim domki, jeden brzydszy od drugiego.

Miałam trzynaście lat, było ciepło, miałam chłopaka, którego istnienie było moją i jego tajemnicą i z którym całowałam się przez kilka poprzednich godzin, leżąc w trawie, gdzie nikt nas nie widział. Był piękny, a ja bardzo zakochana. Wiedziałam, że to tylko tymczasowa sprawa, chciałam się kochać w tej trawie, ale on się bał. I pamiętam to uczucie, może na trzechsetnym metrze i tę myśl, jakby w moja ciało wszedł ktoś bardzo, bardzo stary, kto przeżył już kilka żyć: szczęśliwsza nie będziesz. I ten głos gdzieś wżarty, który mi mówił, że wszystko się zmieni, że minie, że będę kimś zupełnie innym, w zupełnie innym świecie.

Widziałam z całą jasnością, że w swoim przyszłym życiu, będę się śmiać i mówić inaczej, że kto inny będzie mnie całował. Pachniało kurzem i zbliżającą się burzą. Byłam naprawdę szczęśliwa, a gdyby to wspomnienie było teledyskiem albo kadrem z filmu, to operator zrobiłby zbliżenie na moje oczy, które by się uśmiechały i uznałyby, że trzeba dodać słońce, które już zaszło, żeby odbijało się w źrenicach. Jestem prawie pewna, że uśmiechałam się do siebie.

Dlaczego to wspomnienie szczęścia, dostarcza tyle bólu? Zapomniałam o tym dniu na kilka lat, ale teraz w tym tramwaju, zaczęłam się zastanawiać, kto całuje te dziewczyny, kto obściskuje się z nimi na plaży, kiedy jest już ciemno i kiedy ogień i odległe krzyki ich pijanych przyjaciół głuszy ten szalony morski wiatr. Jest zima. Gdzie nastolatki chodzą zimą, by się pieścić? A może nie muszą się już chować, może nie cieszy ich tajemnica. W końcu wszystkiemu robią zdjęcia. Wszystko opisują.

Nie czuję się lepiej, ale nie chcę być nastolatką teraz, chcę mieć trzynaście lat w czasie kiedy miałam trzynaście lat. Jeżeli można spotęgować powrót do przeszłości to tego właśnie pragnę. I jeszcze więcej, bo chcę wrócić bez świadomości powrotu, chcę się zamknąć we wspomnieniu, które będzie teraźniejszością i które nigdy nie zmieni się w przyszłość. Chcę zwielokrotnionej niemożliwości. Bo jest niedziela, a poniedziałek zawsze napawa lękiem.

Te dziewczyny już nie chichoczą, zaczęły śpiewać przebój z windy. Ich głosy są karykaturalne, udają, że im się nie podoba, ale znają cały tekst. Śmieją się z samych siebie śmiejących się ze śpiewania piosenki o której nie wiedzą, że im się podoba. Ja nie umiem już śpiewać publicznie. Robię to oczywiście, kiedy czuję się bezpieczna, wtedy śpiewam – z przyjaciółmi? Chyba tak. Czy one czują się teraz bezpiecznie, czy wszędzie się tak czują? Przecież mają pełno lęków, tak mówią w telewizji. Tak mówią te kobiety z magazynów, że nie chcą wrócić do czasu kiedy były nastolatkami, że były zakompleksione i potrzebowały akceptacji, którą tak trudno dostać, kiedy jest się młodym. Czy to się zmienia?

Akceptacja. W końcu i tak dochodzimy, one dochodzą, te kobiety z magazynów, do tego, że trzeba zaakceptować siebie samego. Ale czy śpiewają na ulicy z koleżankami? Czy chichoczą beztrudnie w tramwaju? Czy mają w sobie tę słodką beczelność i pewność, że już wszystko wiedzą? I czy stoi za nimi ta siła pewności, że nikt nic im nie zrobi, bo ostatecznie są tylko dziećmi. Czy czują, że wciąż mogą wszystko? Kłamczuszki. Muszą się upić, żeby śpiewać, a potem na kacu mówić „o nie, nie przypominaj mi tego, ale się ośmieszyłam!” A jeśli nawet nie, jeśli się tego nie boją, jeżeli my ja i one się nie boimy, to czy nie wyglądamy śmiesznie, kiedy puszczamy latawca na plaży, kiedy układamy głupawe rymowanki i odstawiamy scenki rodzajowe na urodzinach przyjaciół? Czy nie jesteśmy bardziej żałosne, bardziej żałośni? Nie, jednak nie będę do tego mieszać mężczyzn, oni muszą się bardziej natrudzić, tych kilku, którzy też jadą tym tramwajem, jest całkiem poza. W innym miejscu, temacie, języku.

Ostatecznie można grać własną śmiesznością, jak te dziewczyny grają swoją piosenką. Można bawić się w bawiących się dorosłych. Ale jak długo da się to piętzyć?

Kiedy jeszcze spotykałam się z moim sekretnym chłopakiem, zostawiał mi nad jeziorem wiadomości. Zaczęło się od czegoś w rodzaju tego beztroskiego śpiewania. Tego roku lecz jeszcze zanim go poznałam. Byłam gdzieś, z moją przyjaciółką i znalazłam dwa kijki. Nie pamiętam już czemu ale zaczęłam udawać „wesołego muzykanta”. Chyba wyobrażałam go sobie na wzór szczurołapa, a przynajmniej dzisiaj, kiedy o tym myślę, wyobrażam sobie, że wyobrażałam go sobie na kształt szczurołapa. Tylko zamiast fletu miałam skrzypki. Skakałam przed moją przyjaciółką podnosząc wysoko kolana i wydając z siebie jakieś nieznośne dźwięki, jak trilililililililia na własną melodię, swoją odkrytą nutę. Zupełnie nie wiem dlaczego to było takie śmieszne. Ale było.

Śmiałyśmy się jak opętane, łapałyśmy za brzuchy z oczu leciały nam łzy. Kiedy mijałyśmy kogoś, milkłyśmy i udawałyśmy, że nie robimy niczego dziwnego, niczego wspaniałego i to było jeszcze śmieszniejsze, śmiech buzował w nas i rozdymał i kiedy oddalałyśmy się od intruza w naszym przeżywaniu, śmiech się pogłębiał, traciłyśmy oddech i próbowałyśmy przestać się śmiać. Powietrze wypełniało nam poliki, i uchodziło z kolejnym wybuchem niepohamowanej radości.

Tam gdzie mieszkaliśmy było jezioro, a nad jeziorem było drzewo. Leżało w poziomie przy samej tafli wody, tak nisko, że siadając w połowie jego długości można było zanurzać stopy w wodzie. Z niewiadomych przyczyn drzewo wciąż żyło, po prostu żyło w poziomie. Wtedy się nad tym nie zastanawiałam, ale z perspektywy stwierdzam, że było to bardzo dziwne drzewo.

Ponieważ jego korona zawsze była zielona stanowiło piękny namiot nad wodą. Siadywałyśmy tam z moją przyjaciółką, by czekać: na siebie nawzajem, albo na tych, którzy chcieli nas znaleźć. To było nasze miejsce.

Tego dnia po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z istnienia rogoży. Był prawdziwie upalny dzień, czułam jak lenistwo przewierca mi kręgosłup i odbiera władzę w nogach. Położyłam się na drzewie i zamoczyłam nogi w wodzie, ale nawet to leżenie było męczące, miałam wrażenie, że woda jest gorąca i parzy mi nogi. Pomyślałam, że trawa będzie chłodniejsza.

Kiedy stawiałam na niej nogi kręciło mi się w głowie. Od upału i zmiany perspektywy. I wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłam roślinę, na którą patrzyłam niezliczoną ilość razy. Grube, brązowe palki tak blisko brzegu. Wyglądały pięknie i dumnie. Chciałam zerwać chociaż jedną, ale czym bliżej podchodziłam tym bardziej oddalone od brzegu się zdawały.

Łąka szybko zamieniła się w podmokłe bajoro. Pomyślałam o rakach, które na pewno uszczypną mnie w palec i o ślimakach. W głowie zaczęła mi majaczyć niewyraźna myśl o istnieniu pijawek, których nigdy nie widziałam, ale które zaczynały mi przypominać kreskówkowe piranie, wykrzywiające w złośliwym uśmiechu gęby pełne maleńkich, ostrych ząbków.

- Co chcesz zrobić? – Przestraszył mnie, a potem zachwycił. Miał niesamowitą oliwkową cerę, gęste czarne włosy sięgające ramion i ciało na którym rysował się każdy mięsień. Krótkie spodenki w jakimś zupełnie idiotycznym kolorze, jaskrawe, żółte być może i ogromne, ciężkie wojskowe buty na nogach. To wszystko. Nigdy go nie widziałam, a tutaj przecież wszyscy się znali.

- Pomyślałam, że się nada na skrzypki. – Nie zapytał o co mi chodzi, odwrócił się i pobiegł ścieżką wiodącą dookoła jeziora.

Myślę teraz o tym i się czerwienię. Jakie to było naiwne, jakie niewinne.

Nie zerwałam tej palki. Czekałam z poczuciem straszliwego zawodu. Kiedy przyszła moja przyjaciółka

namówiłam ją, żebyśmy poszły w przeciwnym kierunku. Miałam nadzieję, że go miniemy, ale nic jej nie powiedziałam. Nie pamiętam o czym mówiłyśmy i co robiłyśmy później. Rozstałyśmy się jak zwykle wiedząc, że jutro znów się zobaczymy.

Kiedy następnego dnia przyszedłam nad jezioro zerknęłam w stronę falującej na lekkim wietrze rogoży i zobaczyłam, że na środku łąki, stoi wbita w ziemię pałka. Na łodydze napisane było „Jeszcze smyczek?”. To było tak przeraźliwie intymne, ukryta wiadomość, tu gdzie każdy mógł po nią sięgnąć, a tylko ja byłam w stanie ją dostrzec i zrozumieć. To było tak intymne, że nigdy nie mogłam o tym nikomu opowiedzieć, ponieważ opowiedziane, trąciło wydumanym kiczem, bardzo tanim romansidłem. Wiedziałam to już wtedy, czułam pod skórą, że to będzie ogromna tajemnica, że nikt się nie dowie, ponieważ samo opowiedzenie zabija tę chwilę. Ponieważ tak łatwo było to wyśmiać, bo gdyby to zdarzyło się komuś innemu, zniszczyłabym to bezlitośnie. Z całym okrucieństwem swoich trzynastu lat. Z całym ich bestialstwem. Ale to było moje. To był dowód na to, że zostałam wysłuchana i w jakiś zupełnie wyjątkowy sposób - zrozumiana.

Byłam też zawstydzona, zażenowana i podniecona, jakbym właśnie zaczynała wielką przygodę. Jednocześnie strasznie mnie to rozzłościło. Poczułam, że ma nade mną przewagę, ten obcy chłopak o pięknej skórze. Że wie więcej niż ja. Radość, która w pierwszych sekundach zdawała się bezgraniczna, błyskawicznie ustępowała wściekłości. On wiedział o mnie dość, żeby mnie podejść, żeby zwrócić moją uwagę, dał mi prezent i teraz jestem jego dłużnikiem, chociaż nic o nim nie wiem.

Następnego dnia czekała na mnie kolejna pałka: „jest i smyczek”. Zostawiając ją tam, nieruszoną, niedotkniętą, czułam się okropnie. Było mi wstyd. Dlatego wróciłam wieczorem, wzięłam ze sobą mazak, żeby zostawić wiadomość. Nie musiałam. Cekał tam na mnie, a może po prostu był. Wyglądał na szczęśliwego, ale nic nie powiedział. Spędziliśmy ten wieczór siedząc obok siebie w milczeniu. Szukałam tematu do rozmowy, ale żaden nie wydawał się wart poruszenia. O czym myślał on – nie wiem.

Dlaczego czuję taki żal? Dlaczego wspomnienie bliskości, tak niezwykle, że wciąż szybciej bije mi serce i tak nieznosnie odkrytej, niewinnej, że nawet teraz się rumienię, sprawia, że czuję się samotna? Czy to możliwe, że byłam cyniczna mając trzynaście lat. Czy takie romantyczne głupoty nie są tym, czym się cieszymy, właśnie wtedy, co właśnie w tym czasie opowiadamy koleżankom z wypiekami na twarzy. Niczego sobie nie wybaczam.

- No na początku to była taka szara mysz, a teraz wiesz, nawet się maluje. Ale słuchaj tego, najlepsze jest, że to podobno dlatego, że się zakochała w Donacie.

- To jest imię?

- Nie no tak na niego mówią, już ci o nim opowiadałam to ten od koszulki.

- Ale jest takie imię: Donat. Jak się tak ma na imię trzeba uważać żeby się nie roztyć.

- Nie wiem czy jest takie imię, dobra ale chodzi o to, że ona chyba nie kuma, że Donat jest gejem.

- A jest?

- No chyba.

To ostatnie stwierdzenie rozciąga się i odbija od ścian wagonu, nieznoszące sprzeciwu, bezkompromisowe, ogłoszenie oczywistości. Być może Donat nie jest gejem, albo jest, może zupełnie oderwał się od płciowych segregacji, lub co równie prawdopodobne, nie interesują go miłości i zakochania, tylko coś całkowicie innego, być może zupełnie abstrakcyjnego. Donat jest tylko konstrukcją. Dla mnie: podsłuchanym zbiorem liter i wyobrażeń, które mu przypisuję, a dla tych dziewcząt, wyobrażeniem opakowanym w ciało. Przynajmniej dla jednej z nich.

Mam wrażenie, że mojego sekretnego chłopaka poznaję tylko poprzez wspomnienia o nim. Zawsze kiedy o nim myślę, jesteśmy w lecie. A przecież spotykaliśmy się ponad rok. Musiały być też inne pory, musiał być deszcz i śnieg. Nie pamiętam. Widzę nas pływających w ubraniach w jeziorze, nas rozbierających się do naga i wskazujących do lodowatej rzeki w najbardziej upalnym dniu mojego życia. I widzę jak kradliśmy tulipany z plantacji. Tak się mówi? Plantacja tulipanów? Przyłapali nas wtedy, pozwolili zabrać kwiaty i powiedzieli, że te najładniejsze rosną gdzie indziej. Tego pola już nie ma.

W moich wspomnieniach zawsze jest gorąco, on nie ma na sobie koszulki, a jego skóra błyszczy od potu. Nie pamiętam żadnych rozmów. Nie mogę powiedzieć, że opowiadał mi coś konkretnego, albo że myślał w jakiś sposób. Nie wiem, czy miał większy plan na życie, albo na następny dzień. Mogłam nigdy go nie słuchać. Kiedy go porzuciłam, też było lato. Tę gumę którą wtedy żuł i którą smakowały jego usta, ciągle sprzedają. Czasem ją kupuję.

Poszliśmy wtedy na bardzo długi spacer. Mieliśmy takie miejsce, starą, ponemiecką wieżyczkę w której ukryte były jakieś turbiny, czy inne urządzenia do spiętrzania wody, a może tylko do jej przekazu. Do tego miejsca gdzie stała, trudno było dojść, dlatego zawsze mogliśmy być sami. Pierwszy raz wspięliśmy się na nią, bo chciałam, ale się bałam. I wiem to z całą pewnością, że on zawsze zabierał mnie tam gdzie chciałam iść i że zawsze szedł przodem. Powiedziałam mu wtedy, że wyjeżdżam, że wrócę i że go kocham, a potem już tylko się całowaliśmy. Godzinami.

Zapadam się w sobie. Tramwaj jest brudny, podłogę zalewa czarny, topniejący śnieg. Dziewczyny gdzieś zniknęły. Wydawało mi się, że je obserwuję, a nawet nie zauważyłam kiedy wysiadły. W zasadzie, nie ma tu już tych z którymi zaczynałam podróż.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Amanda Vargazz, dodano 30.09.2012 19:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.